

NIWA POMORSKA

Dodatek literacki i oświatowy
do „Dziennika Pomorskiego“

Nr. 5.

CHOJNICE, dnia 8-go sierpnia 1926 r.

Rok 1.

F. Sędzicki.

Pieśni pomorskie.

I.

Gdy się rozpoczyna dzikie harce burzy,
jakiejsze treści wicher pieśni śpiewa,
że przed nią ohyla kornie czubki drzewa,
że las stuletni rozrzewnion jej wtórzy?

Kiedy zamknięty kielich kwiatka róży,
a motyl wkoło skrzydełkami wiewa,
jakież uczucia brzękiem swym wylewa,
iż kwiatek wonne słodycze wynurzy?

Jakimże tonem woda rzeki pluszcze,
iż złamie upór twardej, martwej skały?

Oo buka sowa w ciemne nocne puszcze,
by ptaki z gniazd swych trwonić się zerwały?
Muszą wyrazić być to dość wymowne!
Lecz jak je ująć nam we formy słowne? —

II.

Kto je śpiewał, kto ułożył,
kto w melodyę ubrał je,
chyba jeden wicher wie,
co im w czystym polu wtórzył.

Rosły jako polne kwiecie,
jak niesiany w zbożu mak,
jako śpiewny w lesie ptak,
jak ros perły w rannem lecie.

Jako echo w głuchym borze,
podawane z ust do ust,
przechodziły różny gust
w różnym wzroku i polorze.

Tak nuzono je lat sta,
i jak umiem, śpiewam ja. — —

III.

Naszych pomorskich pieśni
skąd wziął się żalobny dźwięk,
w którym się rozpacz cieleśni,
zawodzi serc straszny jęk?

O, my do skarg niezbyt wcześni. —
W komórkach sercowych wnek
tyle gryzących już pleśni,
że wzmianka ich budzi lęk.

— Uolekły od miast, od Wisły —
od morza, plonniejszych strou,
gdzie razi ich swojski ton. —

Wśród chat i kniei zawisły.
lecz krąg ich zwęza się ścisły. — —
O, pieśni, wam grozi skon! —

Z podań ludu pomorskiego.

Kto jest najsilniejszy?

Pewnego razu przechodził przez olbrzymie Bory Tucholskie jakiś samotny chłop. Naraz zauważył na drodze biegnącej pomiędzy kuzłami podłazem i piaszczystymi wydmuchowiskami trzech osobliwych ludzi, jakich on ani zapewne nikt dotąd jeszcze nie widział.

Mianowicie jeden z nich miał na sobie olbrzymi płaszcz ale tak podarty, że już spowodu dziur w całej sukna poznać nie było można.

— To jakiś przewiewny człowiek! — pomyślał o sobie chłop, temu wieje przez wszystkie fałdy.

Drugi przeciwnie miał na sobie grubą, białą kożuch z owczej skóry, grubą, wełnianą kapuzę kaszubską i także rękawice, aczkolwiek zima już wówczas dawno minęła.

— To jest prawdziwy zmarzłak — powiedział sobie chłop w duszy — tego do żadnej roboty użyć nie można, bo to widać leniuch. Taki człowiek mi się nie podoba.

Zaczem spojrzał na trzeciego osobnika, ale zaraz musiał zamknąć oczy, albowiem tak raziło światło, które od niego było. Szaty jego bowiem były tak świetliste jak słońce.

— Niech będzie pochwalony...! zawołał chłop i ośmiał przejść obok nich.

— Hola! zawołali wszyscy trzej — prosimy nam w pierw powiedzieć, do którego z nas ten ukłon się odnosi?

— Do najsilniejszego z was. — odpowiedział chłop spokojnie i znów zabierał się do dalszej drogi.

Ale tamci ani rusz nie pozwolili mu iść dalej. Zaczęli się sprzeczać między sobą kto z nich najsilniejszy, a w końcu rzekli:

— Więc powiedz nam, kto z nas najsilniejszy? Chłop popatrzył na wszystkich trzech i odparł ze spokojem:

— Ten, który najmniej stracić może i kto najmniejsze ma wymagania, a takim zawsze jest biedak. A zatem mój ukłon odnosi się do tego obszarpańca, bo on niezawodnie jest najbiedniejszym z pośród was.

Orzeczenie to owych dwóch innych rozgniewało i ten jaśniejący tak słońce rzucił zmazkoczonemu mocno tem chłopu tak ogniste spojrzenie, jakby zabłysną płomień piorunu.

— Poczekajno! — zawołał — Ja jestem słońcem i niech no nastanie pełne lato, to ja ci pokażę. — Będę cię palił tak gorącymi promieniami, że się uwędzisz jak słonina w kominie.

— Przypatrz no mi się dobrze — odrzekł ten w kożuch, patrząc na Bogu ducha winnego chłopca tak lodowatym spojrzeniem, że mu mróz przenikał serce, — abyś mnie poznał, gdy zima nadejdzie. Jestem mrozem i będę ci tak dosadzał, że będziesz dawno miał zębami, jak lodygi trzęciny w najmroźniejszą zimową noc.

Lech na to odrzekł obszarpaniec głosem szelesz
czącym jak letni wiatr wieczorny:

— Nie bój się mój drogi! Ja ich obu poskromię.
Jestem bowiem wiatrem i ochronię cię przed swawolą
mych towarzyszy. Jeżeli słońce zanadto dopiekać ci
będzie, powiewem mym przyniosę ci błogi chłód. Jeżeli
zaś zima przyskrzynać cię będzie zanadto w swych
lodowatych kleszczach, wtedy zatkam wszystkie dziury
w mym płaszczu. Ani jeden powiew się nie ruszy i
moć srogiego towarzysza mego zostanie osłabiona.

Słyszając to chłop udał się spokojnie w dalszą dro-
gę, będąc przekonany, że wiatr nie pozwoli, aby mu
dwa jego towarzysze wyrządzili zbyt wielką krzywdę.

I dla tego to na Pomorzu mamy tak częste i tak
gwałtowne nieraz wiatry i wichry.

F. Sędziaki.

Zwonią na polu żniwny kose.

Zwonią na polu żniwny kose
i obok pokosk walny kładą
Jedny się sępią zarnem kłose,
zboż pełny żniwny woze jadą.

Weprawię też żniwnygo „dzłada“,
muzekę, tane, co się zowie;
złoty się cało wnet osada:
dzewuszczi młody i drubowie.

Nie będę skąpił piwa, fychu *)—
niech wies roz walnie się ubawi;
będzie tam wrzesku, splewów, smniechu...
Le... oze się też i ona... stawi? — —

Każdo le na mnie strzelo ocieł
i się przemnilo, cie się zdarzy,
a ona... wstec mnie mljjo booleł
i mnie uniko coroz barzyj.

A jednak mnie le cagnie do nij
niepowstrzymaną jakąś mocą,
cie niebo cka dnla odsloni,
abo zasypiam cemną nocą.

Eh! teo nie jedny le Marynka
na imię, co mo pezeozk pyszy **)—
Nie pusty u mnie spichrz i skrzynka —
załot mych każdo rada słysz.

Rozesię družbów, sprawię gode,
po co mam w melankolji chodzeo, —
możo je gładzo jesz z urode!...
...Le serce... z tym się nie che zgodzeo.

Oó! mnie Marynka ta zadala?
Jaci opętoł mnie łomonieo? ***)
Z rozumu schody ozlek bezmala
i przed nią drzy jak suchy zwonec.

Teo nieroz jaże mnierznie teoy
i swiat się wkół wedaje trupi!
Oó!że to mękę taką mniesy?
i czemuż serce tacf głupi? — —

*) wódki, **) piękną buzię, ***) omama, ozart.

Wolimir Lubicz.

Ukarany kret.

Wlądome ogólnie, że mieszczanie, o ile im się
nadarzała sposobność, kpili sobie chętnie, zwłaszcza
przy kieliszku z zachowania się na bruku miejskim
wieśniaków. Ci atoli ziemniej skorzystali chętnie z

każdej nadarzającej się okazji, aby wyśmiewać się z
„mieszczuchów“, zwłaszcza gdy ci przybyli na wieś i
nieumiejętnie zabrali się do gospodarstwa wiejskiego.

Wiele materiału do takich kpin dostarczył Grzegorz
Łyk, o którego dziejach życia i działalności zasłysza-
łem okolicznościowo takie np. szczegóły:

Grzegorz Łyk narodził się w wielkiem mieście, w
mieście się wychował i poza miasto nigdy nesa nie
wytknął. Nie znał się ani na gospodarstwie rolnem
ani ogrodowem, a drzewa znał najwyżej o tyle, o ile
spotkał je w ogrodach restauracyjnych, do których
uczęszczać lubił (zaoczny czyniąc swemu nazwisku)
albo kiedy porządnie ululkany łbam walił w pale drzew
ulicznych, względnie obłapiwszy się ramionami jako
rozpaczliwego punktu oparcia używał. Co zaś do roślin
innych i ich kultury, to znał najwyżej kwiaty w do-
niczkach, które mu — resztą ku jego wściekłości —
gospodyni stawiała na okna lub balkon.

I zważył, że taki człowiek został ogrodnikiem.

Właścicielem wielkiego warzywnego zakładu ogrod-
niczego na wsi.

Ale postachamy jak to się stało.

Grzegorz Łyk od dzieciństwa nie trwonil wobec
ludzi darów umysłowych i dowcipu. Nauczyciele da-
rmy się lusili o to, aby z niego wydobyć jakieś
odpowiedzi świadczące o bystrości umysłu. Mały Grze-
górz ze swej wiedzy nic albo mało, bardzo mało uрониł,
wobec czego zaliczono go do najgorszych uczni. Skutek
był ten, że ostatecznie rodzic Grzegorza oddał swego
synka w naukę do rzemiosła mularskiego. Szczęście
czy nieszczęście ohoiło, że pewnego razu — dzięki
swej zręczności — spadł z drabiny i nadwyręził sobie
nogę, na którą od tego czasu nieco atykał. Z tego
powodu uznano go za niezdolnego do rzemiosła mu-
larskiego i Grzegorz, który w międzyczasie już podrócił
i prześciowo zajmował się organizacją robotniczą zo-
stał sekretarzem powiatowym.

Było mu przy jego wiadomościach bardzo dobrze.
Ale nieszczęście chciało, że pewnego razu korzystając
z nieobecności naczelnika powiatu podchmielili sobie
cokolwiek ponad zwykłą miarę, wsiedli sobie do powo-
zu powiatowego i obwoływał siebie naczelnikiem powiatu.

Skończyło się redukcją. Nastaly dla biednego
Grzegorza ciężkie dni. Jak zwykle ludzie o tym sto-
pniu inteligencji nie stracił on jednak nigdy ducha.
Dzięki znajomościom poprzednio zawartym i różnorod-
nym kombinacjom przeszedł rozmaite instanoje kariery
życiowej. Był handlarzem, kupcem pośrednikiem handlo-
wym, agentem od ubezpieczeń stręczycielem małżeństw,
adwokatem ludowym, właścicielem banku itp.itp. wszyst-
ko z tem samym wynikiem, że każde jego nowe przedsię-
wzięcie, czy zawód przechodził zwykle koleje ziemskie to
znaczy, że miały początek a niestety i rychły koniec (wi-
docznie nie było wówczas „sanacji moralne“, i Grze-
górz nie mógł wstąpić do „Strzelca“ aby zrobić kar-
jerę wojskową. — dep. zenera.) ostatecznie zancsilo
się już na koniec i życia poczciwego Łyka, albowiem
doszło do tego, że już nie widział dla siebie żadnego
wyjścia. Nikt mu bowiem ani pożyczycie pieniądze a
nawet wódkę poczęstować nie chcieli i drzewa uliczne,
obok których przechodził, spoglądały na niego z trwo-
gą i zaciękwieniem, na którym z nich rawisnie. Nie-
mniej trwożliwie uciekała woda, gdy stawał na moś-
cie nad rzeką, jakby zastanawiał nad tem, z którego
miejsca najwygodniej skończyć do nie.

Byłby to niewątpliwie uczynił, gdyby nie pewna
zaczna matrona, u której narobił niezliczoną ilość długów.

— Oo? — zawołała — zabić się zamierzasz
szkaradniku. Tfu! A kto mi zwróci twoje długi? Przez
całą wieczność spokoju ci nie dadzą za moją krzywdę.

Nie było rady. Grzegorz Łyk jako człowiek uczciwy nie mógł umierać obciążony ciężkimi długami i skazywać swej duszy na ciągły niepokój.

Musiał być nadal, przyrzec, że długi zwróci, a dla większej pewności oddał się sam w zastaw owej matronie i z nią się ożenił.

I to go sprowadziło na wieś.

Albowiem jakaś ciocia żony, tak przez Grzegorza nabytej, widząc, że tak Łyk, jak i jego żona po ślubie jakoś coraz w większą popadają nędzę i mają ich już wyrzucić z mieszkania, sama przeniosła się na tamten świat, gdzie dotąd jeszcze trudności mieszkaniowych nie ma i gdzie już mąż tej ciotki wybrał się przed nie wielu laty, aby przygotować mieszkanie dla swej połowicy, która niemało się do tego przyczyniła, by wyjazd męża swego przyspieszyć.

I ciocia ta przeznaczyła Łykowej wielki warzywny zakład ogrodniczy w pięknie położonej wiosce podmiejskiej. Jednakowoż Łykowa tak się przywiązała do miasta, że żadną miarą opuścić go nie chciała i niewiadomo w jakim celu czy dla zamiany zapisu na inny praktyczniejszy zapis podążyła za swą ciotką do krainy wieczności i więcej nie wróciła.

Wskutek tego cały ciężar spadku po ciotce żony przypadł Łykowi, który przyjął go z pokorą na swe barki i natychmiast wybrał się na wieś, gdzie zabrał się do ogrodnictwa.

Jak dzielnie zabrał się do wypełnienia tego zawodu, łatwo sobie wyobrazić, zwłaszcza, że początkowo gardząc wieśniakami żadnej rady słuchać nie chciał. Kiedy jednak ani zasiana sumiennie sól ani marmelada, ani okurki itp. nie wchodziły, i żadnych ze swego ogrodu nie miał korzyści, przypuszczał do rady jedno go ze swych znajomych, którego jeszcze swego czasu poznał, gdy był adwokatem ludowym i naraził na gruby proces, co pochłonął wielkie sumy bez wszelkiej korzyści.

Łyk jednak uspokoił swego klienta tem, że dzięki temu procesowi zawarł znajomość z różnymi sędziami, że mu ścisłali nawet rękę adwokaci, gdy im dawał pieniądze i że nabrał przez ten proces rozumu, za co powinien mu nawet być wdzięczny. Klient, któremu po nazwisku było Trąba, przyznał po długim pomstowaniu rację i jak mógł wywdzięczał się teraz Łykowi udzielając mu niekiedy mądrej a częściej jeszcze głupszej rady.

Otóż po pewnym czasie, gdy już ogród Łyka jako tako dzięki doradcom Trąby się przedstawiał, naraz szczęśliwy tem ogrodnik amator zauważył, że warzywa jego jakoś nagle pochylały główki, jakby chciały umierać.

Łyka ogarnęła prawdziwa rozpacz

I kogoś nie dotknęłoby to tak samo, gdyby pa trzył na rozwijającą się świetnie z rana salate, która już w południe zółknęła a nad wieczorem opadła na ziemię jako zwiędnięta płat zielska.. Albo jak ziemniaki, które zapowiadały hojne i obfite żniwo naraz zwiędnięte, schnące zaczęły, a ostentacyjnie marniały jak muchy.

Sąsiad Trąba przywołany celem zbadania sprawy, potrząsnął poważnie głową i rzekł:

— W pańskim ogrodzie znajduje się niezawodnie kret.

— Kret?... zawołał Łyk.

— Jeden jedyny wystarczy, aby zniszczyć cały ogród i jeżeli pan jego nie ubije, to pańskie warzywo i ogród i pan zmarnieje.

— Ale jakże się dobrać do tego przekłętą szkodnika?

Łyk bawiąc w mieście słyszał niejednokrotnie o polowaniach na dzikie zwierzęta, sam jako sekretarz powiatowy brał nawet w nich udział ale o polowaniu i nagance na krety jeszcze nic nie słyszał.

Jednakże opatrząc się uważa i pewnego razu wieczorem przybiegł do niego synek sąsiada, krzyżąc: — Panie Łyku, panie Łyku, ja złapałem kreta, ja złapałem kreta.

I pokazał maleńkie czarne zwierzę, które znalazł pod krzakami porzeczki.

— Przeklęte zwierzę! zaklął Łyk pomny na ogrom szkody, jakie, mu wyrządziło to małe niepozorne stworzenie i zastanowił się głęboko nad odpowiednim rodzajem okrutnej śmierci, jaką mu zadać pragnął, ażeby się odpowiednio pomścił za swe krzywdy, za zbrodnie popełnione przez kreta w jego ogrodzie.

— Panie! — odrzekł synek sąsiada — ja mu zetnę łeb.

— To nie wystarczy — odrzekł mrocznym tonem ogrodnik — on musi zginąć o wiele okropniejszą śmiercią.

I naraż wpadł na świetny pomysł. Pobiegł po lopatę wykopał głęboki dół.

— Oczekaj ścrowska bestjo! — Ja ci pokażę. — A zwróciwszy się do synka sąsiada wywoził dalej:

— Szkodnik ten zginie najkropniejszą śmiercią: przez uduszenie — zakopany żywcem w ziemi. To mówiąc rzucił kreta w dół i zasypał całkiem żywego ziemią.

Taką to „straszna śmiercią zginął kret za to że był w ogrodzie Grzegorza.

Frantówki-Pieśni ludowe.

Idzie Jaś wprost przez las
Koska wedle lasa. —
Krzyknął raz, drugi raz!...
Usłyszała Kasia.

— Jaśku mój nie wędruj:
bo będę płakała. —
— Popłakuj, pożaluj,
żeś mnie nie słuchała!

— Mówił ja... raz i dwa:
Kosko, ożeńma się *)
Tyś co dnia lata dwa
matki radziła się. —

— Jaśku mój, błąd daruj,
bożem nie wiedziela,
żem tak twa, a ty mój,
żem cię tak kochała. —

— Dla twych lic, dziewczę, żyó! —
Już do gód jest blisko:
A ty smyk skrzypku, chwyć,
będzie weselisko!...

(Kościarzyna podała S)

*) Jest to czysta forma narzecza kościarskiego, która się wyjątkowo w pieśniach tej zachowała. Męże to świadczy o jej stałym pochodzeniu.

Nad trumną narodowego pieśniarza.

Pełna znowu okryła się całonem żałoby. 1 sierpnia bowiem zmarł jak już donosiliśmy największy poeta współczesny Jan Kasprowicz, poeta narodowy i ludowy (dodatkowo nadmieniamy, że w tych dniach zmarł także zdolny poeta i wielbiciel Piłsudskiego, dentysta Edward Sioński.)

Jan Kasprówic urodził się w r. 1860 we wsi Szymbarzu pod Iasowroclawiem. Rodzice jego, włościanie maierolni, żyjący z wyrobku, kształcili go zrazu w szkole wiejskiej, potem oddali do gimnazjum w Inowroclawiu. Kasprówic z trudem zdobywał świadectwa w szkole niemieckiej, zmieniał szkoły, wreszcie skończył gimnazjum w Poznaniu w r. 1884.

Studja uniwersyteckie prowadził w Lipsku i Wroclawiu. W r. 1887 uwiezony był za przynależność do tajnych związków. Po opuszczeniu więzienia przeniósł się do Lwowa. Tam do r. 1908 zarabiał na otleb jako dziennikarz.

W tym roku uniwersytet lwowski powołał go na katedrę literatury porównawczej. Wykłady przerwał przed paru laty z powodu choroby.

Poezji oddawał się już na ławie szkolnej. Do szczytu sławy doszedł już w pierwszych latach tego stulecia.

W r. 1911 wyszły we Lwowie jego dzieła oryginalne w 6 dużych tomach. Potem przybyło jeszcze kilka zbiorów. Ostatni tom „Mój Świat” wyszedł z końcem 1925. Poeta stworzył ten przepiękny cykl poezji już podczas ciężkiej choroby, z której już nie powstał.

Do wielkich zasług Kasprówicza należy jego praca jako tłumacza. Przetłumaczył wiele arcydzieł poezji i wiele książek pożytecznych.

Sp. Jan Kasprówic był poetą istotnie wielkiej miary najcenniejszym dorobkiem piśmiennictwa polskiego czasów najnowszych. On reprezentował najwyższy szczyt polskiej twórczości poetyckiej w czasach, gdy Polska szła ku odrodzeniu i niepodległości odzyskiwała. Był poetą nowej Polski, wchodzącej w okres cywilizacji. Miała ona odtąd objąć wszystkie warstwy społeczeństwa. Kasprówic zamaniestował głębokie życie duchowe narodu. Był poetą narodowym.

Ozuli to wszyscy, że przemawia do nich jakiś głos konieczny ducha polskiego. Nie wszyscy umieli ocenić jego wartość. Kasprówic znacznie wyprzedził swój wiek. Ale odczuwano powszechnie w dreszczu słowa jego i majestat ducha, wstępującego w szranki sztuki.

Jan Kasprówic, którego główną treścią duszy była twarza i trzeźwa, nienalwna ale i niezłomna wiara w żywiołową konieczność zmartwychwstania, był niezrównanym uosobieniem tej pewności i nieugiętości w czasie wielkiego przełomu wojny światowej, dociekał się włości ziemi, której był tak przyrodzonym wytworem jak polskie zboże, schodził w nią dzisiaj jako ostatni i największy wieszcz tych drgających bólem i nadzieją lat przed wielką chwilą odrodzenia.

Zostawił po sobie wielką i puściznę, z której wyrasta całe pokolenie pisarza. Był wielkim twórcą i wielkim pracownikiem. Służył chwale twórczości polskiej całą istnością, wszystką krwią, ducha. Kochał człowieka i cierpiał za niego. A w dziełach jego duoba rozpoznajemy swoje człowieczeństwo, którego nie raz nie dostrzega się w życiu codziennem i uczymy się cenić jego wartość.

Nadmienić wypada, że na włość o śmierci tego wieszka ze wszystkich stron tak urzędowo jakoteż i prywatnie nadesłano rodzinie serdeczne wyrazy współczucia.

Śmierć nastąpiła spowodowana słabym działaniem serca spowodowanego cukrzycą.

Pogrzeb odbył się w środę w Zakopanem. Niech spoczywa w spokoju!

Urywki poetyczne tego pisarza podamy w następnym numerze.

Rozmaitości.

„Świątokradztwo” w świątyni mahometańskiej W Kairuan, świętem mieście Tunisu w Afryce omal nie przyszło w tych dniach do rewolucji z powodu aparatu fotograficznego.

Energiczne wystąpienie policji i wejska ochroniło znieawidzonych „rumi” — jak nazywają Arabowie Europejczyków od rzezi.

W Kairuanie znajduje się grób marabuta, Djam Amora Abbaby.

Nał miejscem tego wiecznego sponzynku wznosi się meczet, miejsce pielgrzymek pobożnych mahometan.

Djam Amor Abbada był podobno wybitnym siłaczem. Największym mieczem wywijał z taką łatwością, jakby to była gałązka palmy, a wiozorami, po trudach całego dnia, palił fajkę niepospolitych rozmiarów.

Był bowiem olbrzymem i zarazem wielkim mędrzem. Fajka i miecz wiszą dotąd nad grobem marabuta w otoczeniu chorągwi i kwiatów.

Pewna miss amerykańska, zwiedzająca cudowną świątynię, roześmiała się na widok tych relikwii i wśród głośniejszej radości i swych towarzyszy skierowała na grób świętego, obiektyw Kodaka, aby zrobić zdjęcie fotograficzne.

Mahometanie, obecni w świątyni, tak się oburzyli zachowaniem amerykańskiego towarzystwa, iż rozbili aparat fotograficzny i wywiekli świątokradców przed meczet, aby ich tam zamordować.

Szczęściem przybyła w porę pomoc, podróżnicy są jednak mocno poturbowani.

Nowe bliźnięta siamskie. W South Bend w Stanie amerykańskim Indjana pewna pani Medich porodziła bliźnięta, zrosnięte ze sobą żywotem o zwróconych do siebie twarzach. Badania kilku z urzędu lekarzy wykazywały, że bliźnięta będą długo żyły zrosnięte ze sobą. Rozszczególnie członki ich są zupełnie zdrowe. Jedno z bliźnięt jest przytem od drugiego tak dalece niezależne, że jedno np. może pić mleko, gdy drugie smacznie śpi. Zdaniem lekarzy bliźnięta będą mogli nawet później chodzić, gdy nieco wyrosną. Operacja zdaniem wybitnych chirurgów mogąca oddzielić bliźnięta od siebie, jest niemożliwa. Skończyłaby się ona bowiem niechybna śmiercią zrosniętych na wszystkie czasy dzieci.

Wielkie cyrki amerykańskie już czynią starania, ażeby bliźnięta o ile możności już teraz u rodziców zobowiązać dla wielkich przedsięwzięć, gdzie mają być pokazywane ludności.

Zywy pomnik przeszłości. Najstarszym drzewem na świecie jest klon Hippokratasa, rosnący w mieście Kos, na wyspie tej samej nazwy, przy brzegach Malej Azji. Pod cieniem tego drzewa znakomity lekarz starożytności glosił swe wykłady w 4. wieku przed Chrystusem. A ponieważ wówczas to było już dosyć stare, więc bez większego błędu można określić jego wiek na 2500 lat. Pień drzewa ma 20 m obwodu. Gałęzie każdą wiosną pokrywają się liśćmi, lecz siła żywotna z każdym rokiem maleje, tak że mieszkańcy okoliczni podpierają gałęzie pod porkami.

Zywy ten pomnik przeszłości ma mimo to jeszcze przed sobą wiele lat życia.